

Hipokryzja naszych czasów [FELIETON]

Strona konserwatywna otwarcie potępia wszelkie formy liberalizmu; strona lewicowa jest równie nieliberalna, lecz nie przyznaje się do tego i wykorzystuje hasło liberalizmu. Zbiór, zawierający obie te strony, pokrywa się prawie całkowicie ze zbiorem wszystkich tych, którzy nami rządzą, na każdym szczeblu – pisze Agnieszka Kołakowska w kolejnym felietonie z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”.

A może by tak, zasugerował mój mąż, o czymś innym? Na przykład o wszechobecnej, wszechobejmującej hipokryzji naszej epoki?

– Ale przecież – zaprotestowałam – to wcale nie będzie o czymś innym! Będzie dokładnie tym samym, co zawsze.

– Wcale nie! – upierał się mój mąż.

– A właśnie, że tak! Zobaczysz!

– Mówię ci, że nie! – huknął mój mąż. (Proszę zwrócić uwagę na nasze subtelne, racjonalne argumenty, posuwające się w cywilizowany sposób i z nienaganną logiką od solidnych przesłanek do niepodważalnych wniosków).

– Cicho bądź! – wyjaśniłam. (Uwaga, plagiat! Cytat ten pochodzi z amerykańskiej powieści autorstwa Ringa Lardnera, ze słynnej sceny, w której ojciec podczas długiej podróży samochodem odpowiada na nieustanne pytania małego synka, wszystkie zaczynające się od: „Dlaczego...?“).

W końcu się ugięłam. Proszę bardzo. Ale ostrzegałam. Przepraszam też za nieco pretensjonalny tytuł. Nie tylko pretensjonalny, lecz także mylący, bo hipokryzja naszych czasów, choć wydawać się może powszechniejsza i jaskrawsza niż kiedyś, niewiele się chyba różni, w swoich ogólnych zarysach, od hipokryzji czasów minionych.

Więc tak: nasz świat dzieli się dziś na trzy części. Z jednej strony mamy pogrążonych w hipokryzji bogatych lewicowych anty-konsumpcyjnych antykapitalistów, z drugiej – pogrążonych w hipokryzji bogatych prawicowych anty-konsumpcyjnych antykapitalistów, z trzeciej wreszcie – wszystkich innych, to znaczy normalnych ludzi, bogatych i biednych i tych pośrodku. (O, właśnie – przytaknął z aprobatą mój mąż). Lewicowi by chcieli, żeby biedni pozostali biedni i żeby była rewolucja, na czele której staną oni, wraz z rodzinami i przyjaciółmi. Prawicowi (dziś na ogół są to konserwatywni katolicy czy też katolicy konserwatyści, i nie tylko w Polsce) by chcieli, żeby biedni pozostali biedni, chodzili do kościoła i dostosowali się do reguł teokracji.

Lewicowi posługują się obłudną troską o planetę, rasizm i ludzi transgender, by osiągnąć swój cel – jakim jest przejęcie władzy; prawicowi w tym samym celu posługują się pojęciem wolności pozytywnej (w przeciwieństwie do negatywnej, ważnej w myśli

*Strona konserwatywna
otwarcie potępia wszelkie
formy liberalizmu; strona
lewicowa jest równie
nieliberalna, lecz nie
przyznaje się do tego*

liberalnej, zarówno
klasyczno-liberalnej i
lewicowo-liberalnej).
Obie strony
potępiają klasyczny
liberalizm,
indywidualizm,
kapitalizm (w
różnych stopniach),
wolny rynek, wolny

wybór i równość wobec prawa; obie strony posługują się, obłudnie, pojęciem wspólnego (w odróżnieniu od indywidualnego) dobra. Strona konserwatywna otwarcie potępia wszelkie formy liberalizmu; strona lewicowa jest równie nieliberalna, lecz nie przyznaje się do tego i wykorzystuje hasło liberalizmu. Zbiór, zawierający obie te strony, pokrywa się prawie całkowicie ze zbiorem wszystkich tych, którzy nami rządzą, na każdym szczeblu – rządowym, instytucjonalnym, biurokratycznym, lokalnym i państwowym, wszędzie na Zachodzie, w każdym europejskim kraju i w Ameryce.

Prawicowi hipokryci nie lubią liberalizmu i wolności negatywnej bo uważają, że to oni wiedzą lepiej, co jest dla nas dobre i chcieliby za nas o tym decydować. Na ogół stać ich na nieograniczoną konsumpcję i radośnie z tej możliwości korzystają, jednocześnie potępiając ją u innych. (Mogliby też zafundować sobie aborcję za granicą, gdyby zaszła taka potrzeba i wiedzą, jak zdobyć środki antykoncepcyjne). W czasach komunizmu jakoś nie pytali, po co nam tyle wyboru i tyle dóbr, nie kwestionowali też mechanizmów wolnego rynku. Przeciwnie: kwestionowali zakres władzy państwa i domagali się indywidualnych swobód. (Zachodni konserwatyści, którzy nie doświadczyli komunizmu, też kiedyś popierali wolny rynek, konsumpcję i wolność wyboru, i też

chcieli zawężyć zakres władzy państwa). Teraz, bogaci i wolni, chcieliby ten zakres rozszerzać – pod warunkiem, że to oni będą decydować o definicji wspólnego dobra. Za komunizmu walczyli przeciwko cenzurze i o wolność słowa; teraz chcieliby narzucać cenzurę, ale tylko w przypadku wypowiedzi anty-chrześcijańskich i anty-kościelnych (tudzież, rzecz jasna, pro-homoseksualnych, genderowych, transgenderowych itp). Wolność słowa nie jest w ich mniemaniu fundamentalną zasadą dobrego państwa – chyba, że chodzi o ich wolność słowa.

E tam, bez przesady, jak nie dadzą w jednej aptece, to dadzą w drugiej – mówią mi przyjaciele z tej strony. Albo: oczywiście, że piekarz powinien mieć prawo odmówić upieczenia tortu na wesele homoseksualistów! To przecież wolność religijna! Zawsze można znaleźć innego piekarza. (Ciekawe, czy to samo by powiedzieli w przypadku Żydów. Nie jest to chybione ani absurdalnie hipotetyczne porównanie. Parę lat temu w Rzymie pojawiły się na niektórych sklepach napisy: Żydom wstęp wzbroniony). Albo: homoseksualiści zawsze znajdą innego drukarza, by im wydrukował swoje plakaty. Będą musieli chodzić na terapię, ale to dla ich dobra. Wolność religijna to już nie swoboda praktykowania swojej religii, lecz prawo narzucania jej dogmatów wszystkim innym. Podobnie jak z wolnością słowa.

Lewicowi hipokryci nie lubią negatywnej wolności i klasycznego liberalizmu bo chcieliby definiować ludzi według (przymusowej i przez nich decydowanej) przynależności do jakiejś grupy – co wielce ułatwia manipulowanie nimi. Manipulację ułatwia też podsycanie walk między grupami o pierwszeństwo w rankingu „ofiar prześladowania” i dostęp do związanych z tym przywilejów. Z początku udawała się manipulacja za pomocą wszechobejmującego i nieskończonego plastycznego pojęcia

„intersekcjonalności”, lecz gdy niechybnie zaczęły wybuchać konflikty między grupami „ofiar” w rankingu, trzeba było szybciotko zmienić strategię, by to wykorzystać. Ale lewicowi hipokryci szybko się adaptują. Wydaje się, że obecnie przyjętą zasadą jest hasło „Divide et impera”. Wraz, rzecz jasna, z hasłem „Oderint, dum metuant”. I na razie jako tako działa.

*Wolność słowa to już nie
swoboda wypowiedzi, lecz
prawo narzucania swoich
poglądów i prawo do
dyskryminacji*

Dla lewicowych hipokrytów, tak samo, jak dla prawicowych, ani anty-dyskryminacja ani wolność słowa nie znajdują się wśród

fundamentalnych zasad dobrego państwa – chyba, że chodzi o ich wolność słowa i dyskryminację przeciwko nim. Gdy dzielimy świat na prześladowane grupy ofiar (obecnie liczą się głównie czarne) i uprzywilejowanych (białych) prześladowujących, prędzej czy później przyjemność i wygoda, czerpane z cenzurowania tych drugich i swobodnego dyskryminowania przeciwko nim, przeważają nad pojęciem wolnego słowa dla wszystkich. Wolność słowa to już nie swoboda wypowiedzi, lecz prawo narzucania swoich poglądów i prawo do dyskryminacji.

Ostrzegałam, że będzie znów o tym samym. Przynajmniej oszczędzam czytelnikom szczegółowej wyliczanki, która dla równowagi powinna się znaleźć w opisie poglądów lewicowych hipokrytów: o publicznych sesjach autokrytyki, obowiązkowych kursach o rasizmie, wszędzie rozpowszechniającym się dogmacie o „strukturalnym” rasizmie ludzi

białych, kulturze „kancelowania” itp. Nie mam żadnych przyjaciół z tej strony, ale nietrudno zgadnąć, co by mówili w obronie swoich zasad, mianowicie: nic, ponieważ według tych samych zasad człowiek nieprzyjmujący ich nie ma prawa do głosu, a zatem rozmowa z nimi jest niemożliwa. Nowa lewicowa teoria sprawiedliwości społecznej, która musi być bezkrytycznie przyjęta, nie pozwala na rozmowę. Warto dodać, że ci lewicowi hipokryci wykorzystują i wypaczają niezmiernie ważne w klasycznym liberalizmie i w teorii liberalizmu Milla pojęcie krzywdy, potępiając jako „krzywdę”, albo nawet jako „przemoc” – a zatem jako coś, co, według Milla, w liberalnej demokracji stanowi granicę naszej wolności – każdą wypowiedź, na jakikolwiek temat, z którą się nie zgadzają. Więc nie brak tu naprawdę równowagi: prawicowi antyliberalni hipokryci jednak nie odrzucili całkowicie wiary w swobodną debatę, i choć rozmowa z nimi na te tematy może okazać się jałowa, przynajmniej można rozmawiać. Na ogół. Czasami.

Lewicowi hipokryci chcieliby podzielić świat na różne, skonfliktowane między sobą i bardziej lub mniej uprzywilejowane grupy. Chcą totalitarnego świata bez debaty, z cenzurą, z bardzo ograniczonymi swobodami, i bez równości wobec prawa. Prawicowi hipokryci chcą świata zorganizowanego wokół Kościoła, też z ograniczonymi swobodami i bez równości wobec prawa.

Zarówno liberalne państwo, oparte na zasadzie negatywnej wolności, gdzie najwyższymi wartościami są wolność słowa, indywidualne swobody i wolność wyboru (co w obecnym wydaniu dało nam cenzurę i tyranię teorii intersekcjonalności), jak i nieliberalne, oparte na zasadzie pozytywnej wolności, gdzie najwyższą wartością jest wspólne dobro (co w obecnym wydaniu zdaje się jednoznacznie z podporządkowaniem się dogmatom Kościoła), może, jeśli te zasady są wypaczone, doprowadzić

do totalitaryzmu czy tyranii. W obu przypadkach czyha niebezpieczeństwo przymusowej przynależności do jakiejś grupy i podporządkowania swoich swobód i wyborów jej dekretem.

I tu znów wracamy do strukturalnego rasizmu i białej supremacji. I kancelarii Królowej Śnieżnej. (Bynajmniej nie dlatego, że ucieleśnia ona białą supremację, ani dlatego, że prześladowuje i obraża ludzi małego wzrostu, lecz dlatego, że na końcu całuje ją książkę. Podczas gdy śpi! Bez jej pozwolenia! Jest to po prostu gwałt).

No i masz – powiedziałam tryumfalnie mężowi. – A nie mówiłam!?! W kółko to samo.

Ale jedną ważną rzecz trzeba dodać. Prawdą jest, że klasyczny liberał, chcący ocalić liberalizm i bronić pojęcia negatywnej wolności, nie powinien poprzestać na powtarzaniu, że obecne skrajności i absurdy, tyrania mniejszości, cenzura i dyskryminacja, teoria strukturalnego rasizmu itd, są wypaczeniem „prawdziwego” liberalizmu; powinien podeprzeć te twierdzenia argumentami. Nie sposób dowieść – bo nie można udowodnić negacji – że w pojęciu liberalizmu nie kryją się od początku załamki takiej tyranii i że obecny opłakany stan naszych liberalnych demokracji nie jest, jak twierdzą konserwatywni hipokryci, niechybnym skutkiem tych systemów; ale są tu mocne argumenty i klasyczny liberał powinien spróbować je wykorzystać. Inaczej może przypominać tych, którzy nadal uparcie twierdzą, że komunizm był wypaczeniem „prawdziwego” marksizmu. Piszę powyżej „jeśli te zasady są wypaczone” i sama przyznaję się do winy.

Ale konserwatywny anti-liberał, chcący wykazać bankructwo liberalizmu i bronić pojęcia wolności pozytywnej, też powinien zadać sobie trud znalezienia argumentów do podparcia twierdzenia, że obecne otaczające nas absurdalne ideologie są niechybnym wynikiem liberalizmu czy liberalnych demokracji (na ogół nie jest jasne, o którą z tych rzeczy im chodzi ani jak je rozróżniają). Jak dotąd po żadnej stronie takich argumentów nie widziałam – choć wydaje mi się, że strona klasyczno-liberalna, w odróżnieniu od konserwatywno-antyliberalnej, przynajmniej trochę się stara. Ale skoro sama należę do tej pierwszej, nic dziwnego, że tak sądzę.

Zarówno klasyczni liberałowie, jak konserwatywni anti-liberałowie muszą poszukać argumentów. Będę się starać. Ale nie dziś.

Agnieszka Kołakowska

Przeczytaj inne felietony Agnieszki Kołakowskiej z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

